

Piotr Zaccone

# Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

1

I.

W dniu 25. grudnia 19... roku wieczorem szalała nad Paryżem burza, która długo pozostała w pamięci mieszkańców. Wicher ze świstem wpadał w ulicę i szamotał płomieniami lamp gazowych, przechodnie biegli szybko szukając schronienia, a dorożki i powozy ociekające wodą, dudniały głośno po śliskim asfalcie bruków.

Ciężkie, ołowiane chmury gnane wichurą przesuwwały się błyskawicznie po niebie, drzewa bulwarów szumiały rozpaczliwie, dotykając gałęziami ziemi, a rynny kamienic wylewały z siebie potoki mętnej, piennej wody. Wkrótce ulice miasta opustoszały zupełnie i noc zapadła nad miastem, noc ciemna i przerażająca, wypełniona ogłuszającym wyciem wiatru, trzaskiem łamanych galezi i łoskotem sztyldów sklepowych obijających się o ściany kamienic.

W drzwiach niewielkiego hotelu na ulicy św. Jakóba ukazał się człowiek, owinięty w długi, szeroki płaszcz nieprzemakalny. Twarz miał bladą i niespokojną. Chwilę obserwował bacznie burzę wzmagającą się wokół niego, wychylił głowę z wysokiego kołnierza płaszcza i spojrzał na chmury pędzące szybko nad drzewami. Ale w tej samej chwili silniejsza fala wiatru z deszczem uderzyła z impetem o bramę hotelu, tak, że mężczyzna, zalany od stóp do głowy, zmuszony był cofnąć się z progu.

— Widzi pan — odezwał się drugi człowiek, stojący w zagłębieniu bramy — że szaleństwem byłoby wybierać się w drogę, na czas tak straszny.

— A jednak ja tam być muszę! — odpowiedział mężczyzna w płaszczu.

— Burza nie uspakaja się wcale.

— Muszę jechać.

— Może lepiej poczekać do jutra. Przez noc burza się uspokoi i ranek może być pogodny.

— To niemożliwe.

— Radzę jednak przeczekać choć parę godzin.

— A czy śmierć czekać będzie? — wyrzekł ostro mężczyzna zniecierpliwionym głosem.

Zaległo chwilowe milczenie.

Ale hotelarz nie chciał się widocznie uznać za pokonanego, a może rzeczywiście zależało mu na gościu, bo po przerwie krótkiej, niezrażony znowu nalegać zaczął.

— Sądzę, że pan hrabia pozwoli się przekonać — odezwał się — Proszę tylko patrzeć, co się tam dzieje. W pięć minut zostanie pan hrabia przemoczony do nitki. Wicher jest tak gwałtowny, że z pewnością wyrwie w łecie drzewa z korzeniami. Czy pan hrabia nie obawia się wypadku?

— Lękem się tylko przybyć za późno! Już dziesięć lat go nie widziałem! Dziesięć lat przywołuję mnie do siebie. Czy chcesz, żeby mnie przeklął w ostatniej godzinie swojego życia? Nie, nie mój Andrzeju! Ja jechać muszę. Bądź zdrow stary i nie obawiaj się o mnie.

— Życzę w takim razie panu hrabiemu szczęśliwej podróży. — rzekł z żalem hotelarz — Proszę tylko o rzecz jedną...

— Cóż takiego?

— Żeby pan hrabia zdrów i cały powrócił jaknajprędzej.

Hrabia uśmiechnął się i podał mu rękę.

— Zobaczymy się wkrótce, mój przyjacielu. — odparł — Podczas mojej nieobecności pilnuj dobrze rzeczy, które pozostawiłem w pokoju.

Mówiąc to, wyszedł na ulicę.

Już od pewnej chwili koń osiodłany stał przed bramą, wyrывая się niecierpliwie z rąk chłopca stojącego.

Młody człowiek dosiadł go zrećnie i skłaniając jeszcze ręką hotelarzowi, ruszył galopem i wkrótce zniknął na zakręcie ulicy.

Koń biegł ze spuszczoną głową, ślizgając się niekiedy, zwalniając biegu, kiedy silniejszy napór wichru uderzał go w pierś. Jeździec wkrótce minął przedmieście Saint-Marceon, wydostał się na bulwary wewnętrzne i skierował się w końcu ku dolinie przeciętej rzeczką.

Na prawym wybrzeżu tej rzeczki, mniej wię-

cej o cztery kilometry od Paryża wznosiła się willa.

Obszerny, angielski ogród otaczał wytworne zabudowanie z czerwonej cegły, noszące na sobie cechy budowli z czasów Ludwika XIII.

Do willi prowadziła szeroka aleja wysadzana starymi kasztanami. Za bramą żelazną rozciągał się podwórzec, urozmaicony gęstym, niskim trawnikiem, podchodzącym aż do peronu.

W wieczór ten dwa okna parterowe willi były oświetlone.

W pokoju sypialnym, bogato umeblowanym, paliła się u sufitu lampka nocna, rzucając niepewne blaski na łóżko z baldachimem, cofnięte w róg alkowy.

Na łóżku tem spoczywał starzec o długich, białych włosach, o twarzy bladej, zniszczonej cierpieniem. Długa jego koścista ręka czepiała się konwulsyjnie fałdów jedwabnej koldry, wzrok miał niespokojny i wylekty, usta sine, z których wydobywał się z trudem krótki, świszczący oddech. Znać było, że śmierć czaiła się nad tem wyniszczonym ciałem, z którego życie ulecieć mogło ladu chwila, przynosząc ze sobą spokój i zapomnienie.

Przychodzi czas, w którym zewnętrzne formy życia zanadto ciężą nad wyczerpanym i osłabionym organizmem.

Lat, trudy i zgryzoty ciągnęły tego starca ku śmierci, nie pozostawiając mu żadnej nadziei ratunku.

Niedaleko łóżka, przed kominkiem, na którym tlił się słaby ogień, siedział głęboko zasunięty w fotel mężczyzna, zda się zupełnie obojętny na to, co się wokół niego działo. Ani jęk ni skargi umierającego nie mogły go wyrwać z ponurego milczenia, w którym był pogrążony.

Wyraz jego twarzy miał w sobie coś odpychającego. Włosy czarne, krótkie i twarde, sierczące nad wąskim, wypukłym czołem, brwi rude i gęste, spadające aż na oczy wąskie o złośliwym, upartym wyrazie. Policzki twarzy wysylające, ciemnym cęglastym odcieniem znaczone, nos krótki, ścięty, ginący prawie w ciemnym zaroście. Szerokie, przysirzyżone faworyty poszerzają jeszcze tę twarz: o nienormalnej budowie. Mężczyzna ten, rozrośnięty w ramionach, z krótką szyją przypomina z wyglądu silacza jarmacznego. Ubranie jego prosiacze podnosi jeszcze brutalną cechę całej jego osoby.

Chory kilkakrotnie poruszył się niecierpliwie na łóżku. Wyciągnął z pod koldry chudą, pomarszczoną rękę, uniósł cokolwiek głowę i powiódł dokoła spojrzeniem, w którym błyszczała przedśmiertelna gorączka. Suchy, głęboki kaszel wydobył się z jego zapadniętej piersi, a kiedy atak minął, opadł na poduszki bezsilny z czołem pokrytym kroplami potu.

Podczas tego mężczyzna, spoczywający w fotelu, niewzruszony wcale rozpaczliwym stanem chorego, flegmatycznie nałożył przygotowaną fajkę i zapalił ją.

— Boże... mój Boże!... — szepnął chory z wyrzutem — On nie nadchodzi... Czy go już nie ujrzę więcej?

Mężczyzna nie poruszył się.

— Pozostawiają mnie samego... opuszcza... — żalił się dalej starzec słabym głosem — nie widzę już nic prawie... ciemność mnie otacza... Paskalu! Paskalu, gdzie jesteś?...

Ale wolany milczał dalej, popijając wino ze szklanki, stojącej na małym stolczku przy kominie.

— Paskalu... odezwi się... — błagał rozpaczliwie chory — odpowiedz... widzisz przecież, jak cierpię... to śmierć już... słyszysz, a ja boję się... boję się umierać, nie ujrawszy przedtem moich ukochanych dzieci...

Służący poruszył się nareszcie i spojrzał w stronę łóżka zminym wzrokiem.

— Pan mnie wołał? — zapytał obojętnym, znudzonym głosem.

— Więc jesteś tutaj?

— Nie odchodziłem wcale.

— Ale on?... On? Paskalu.

— Kto taki?

— Mój syn!...

Paskal wzruszył ramionami.

— No i cóż? Widzi pan, że nie pospieszyl wcale na wezwanie. — odburknął gniewnie.

— Gdzież on jest teraz?...

— Niech pan o tem nie myśli.

— Obojętność twoja zabije mnie.

— Czy nie ma pan przy sobie dwóch ludzi, którzy kochają pana, którzy nie opuścili pana tak, jak inni, siostrzeńców swoich?

— Tak — szepnął starzec — moi siostrzeńcy są tutaj... Wiem o tem, ale to nie są moi synowie, mój Boże! Na ich przywiązanie liczyć nie mogę...

Mówiąc to chory odwrócił się ku ścianie, aby ukryć łzy napływające mu do oczów.

Widząc to służący zagłębł się jeszcze wygodniej w fotelu i przymknął oczy. Potrzebował zdrzemnąć się po kilku szklankach wina, które metodycznie wysaczył.

Po chwili chrapanie śpiącego zmieszało się z cichymi skargami starca i znowu cisza zaległa pokój.

Teraz wyraźnie dochodził od czasu do czasu szmer podniesionych głosów z przyległego pokoju.

Pokój ten był również oświetlony, ale tylko jedną, niewielką świecą, pomimo, iż w złotych kandelabrach, stojących na wysokich postumentach, mieściło się ich więcej.

Ogień na kominku wygasł zupełnie i w pokoju panowało zimno dotkliwe, lecz przebywający w nim dwaj mężczyźni, zda się, nie odczuwali go zupełnie.

Siedzieli w milczeniu, bacznie zwracając uwagę na szmery, dochodzące z sypialnego pokoju. Niekiedy zamieniali ze sobą niespokojne spojrzenia, a zdarzało się to, ilekroć zdawało im się usłyszeć odgłos jakiś, wpadający z zewnątrz willi. Zachowanie ich zdradzało gorączkowe oczekiwanie i niepewność.

Jeden z nich, młodszy, mający lat około trzydziestu, byłby dosyć przystojnym, gdyby nie przedwczesne zniszczenie twarzy i ostry wyraz ciemnych, głęboko osadzonych oczu. W oczach tych, w których przelatywały teraz niedobre błyski, czytać było można jakieś silne, niezłomne postanowienie.

Rysy jego towarzysza nie wyrażały już tej energii i stanowczości. Czoło wysokie osłaniały rzadkie, siwiejące już włosy. Twarz była szeroka, spłaszczona, szczęki grube i wydatne, broda ścięta równo, nadawała jej rys brutalny i zwierzęcy.

Pomimo rażącego braku podobieństwa, obydwoj byli braćmi. Byli oni siostrzeńcami starca, który dogorywał w przyległym pokoju.

Przed nimi na stole leżał duży zwój pergaminu, od którego spojrzenie ich oderwać się nie mogły.

Był to sporządzony akt testamentu następującej treści:

„To jest mój testament, spisany własnoręcznie z całą świadomością umysłu i woli.

W nieobecności obydwoj synów moich, zaginionych od lat dziesięciu i których pomimo gorliwych poszukiwań odszukać nie mogłem, powierzam siostrzeńcom moim pieczę nad całym moim majątkiem, wynoszącym z górą trzy miliony franków.

Akta, sprawdzające ten majątek, złożone są w kancelarii notaryusza mojego, pana Mirvaud w Paryżu, który obowiązany jest je doręczyć siostrzeńcom moim po mojej śmierci na pierwsze ich żądanie.

Jedną czwartą część mojego majątku zapisuję siostrzeńcom moim, którzy stają się posiadaczami wszystkiego, jeżeli synowie moi się nie zgłoszą po sukcesję w terminie przez sąd wyznaczonym.

Przez czas ten dochody wszystkie wypłacone zostaną siostrzeńcom moim.

Gdyby tylko zgłosił się syn mój jeden, będzie miał prawo do podjęcia sumy przypadającej na niego, gdyby zaś skonstatowana została śmierć drugiego, siostrzeńcy moi mają prawo żądać pełną połowę mojego majątku.

Chcę niniejszem rozporządzeniem ukarać dzieci moje, które z obojętności opuściły mnie w wieku, w którym najbardziej potrzebowałem ich opieki i przywiązania.

Takim był akt, który obydwoj mężczyźni odczytali kilkakrotnie z błyskiem nietlumionej radości w oczach.

Pismo jego było drżące i niewyraźne. Nieszczęśliwy starzec spisał go zapewne pod dyktando siostrzeńców, którzy musieli mu pomóc w tej mozolnej czynności, bo spostrzedz było można wiele liter, poprawionych odmiennym charakterem pisma.

I kiedy nareszcie po wielu trudach i namowach zdolali akt ten wymusić na nieprzytomnym już prawie starcu, udali się bezwzględnie do drugiego pokoju, aby spokojnie odczytać go raz jeszcze i omówić plany przyszłości, przedstawiającej im się w jak najjaśniejszych kolorach.